Ner 42. Kraków, 21go Października. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wychowanie Rodzinne.

List X. Wojciecha z Medyki.

I.

Człowiek jest towarzyski, t. j. nie może sam przez siebie być szczęśliwym, ani zupełnym człowiekiem; nawet w pewnym względzie nie może sam z siebie i przez siebie żyć, ani się rozwijać, ani dójść do przeznaczonego celu, jeno z drugimi, i za pomocą i wpływem drugich. On sam, w odłączeniu od ludzi, podobny jest do listka, co oderwany od gałązki ginie marnie. Jest on, jakby to ziarno pszeniczne zdrowe i dorodne, ma w sobie zarody takiego bogactwa, jakiego nie posiada żadne stworzenie pod słońcem, i może wyrość do rozmiaru nieznanego, może duszą swoją zolbrzymieć; ale, jak ziarno potrzebuje ziemi, rosy, słonka i innych dobroczynnych wpływów, aby urosło i wydało plon z siebie: tak i on sam z siebie bez wpływów zewnętrznych, bez opieki ludzkiej, nie podoła rozwinąć się zupełnie, nie będzie zupełnym człowiekiem. Bo czemżeby było dziecię każde bez opieki matki, ojca, babki lub piastunki i t. d.? Sama słabość natury dziecięcej dowodzi, że każdy z nas zginąłby i nie żyłby dotąd, gdyby go samego pozostawiono w kolebce, gdyby nie było nad nim opieki, dozoru i nieustannego czuwania.— Im czyściejsza i droższa jest jaka rzecz, tem pilniej ma być strzeżona, aby się niezbrukała lub nie popsuła. Tak też i człowiek-dziecię: jako najwonniejszy kwiat nieba i ziemi, jako arcydzieło Boże między ziemskiemi stworzeniami, powinien być najwięcej dozorowany i strzeżony, aby nie zaginął. Dlategoto Stwórca i najmniejszego robaczka otoczył swoją widomą opiekę i bezpośrednią swoją ochroną od zagłady w jego gniazdeczku, dlategoto żadne zwierzątko nie rodzi się tak nieudolne i tak długiej i troskliwej opieki wymagające jak człowiek-dziecię: bo im roślina kosztowniejsza lub z dalszych krajów sprowadzona do nas, tem więcej musi być przez nas strzeżona, aby nie uschła. A człowiek-dziecię, to roślina nadziemska, czyli raczej pół ziemska i poza-ziemska, a jako taka potrzebuje osobliwszej opieki i najtroskliwszego dozoru i najdłuższego nad sobą czuwania. Czem może być człowiek odłączony od ludzi, dowodem tego jest Kaspar Hauser, ta ofiara nieszczęśliwa czy łakomstwa, czy wstydu, czy też próby niepotrzebnej i złej ciekawości, która sprawcom tego czynu przynosi hańbę, a w sercach chrześciańskich budzi oburzenie. Czem może być człowiek bez należytej opieki i nauki, dowodem tego ta warstwa ludzi na dole społeczeństwa leżąca; dowodem i te dzieci, które zostały wcześnie sierotami, albo też zaniedbane od rodziców były. Z tego względu okazuje się potrzeba wpływu ludzi na każdego człowieka.

Owe systemy filozoficzne, co to głoszą, że wystarcza dla nauki człowieka sama olbrzymia, cudowna, otaczająca go niema natura, że człowiek obejdzie się bez wpływu ludzi i t. d. są napół prawdziwe, i mogą wystarczyć wychowaniu ludzi dzikich barbarzyńskich, o jakich nam dzieje stare i pogańskie piszą; ale nie potrafią wychować ludzi, jakich ludzkość w swoim postępie potrzebuje. Boć i natura jest olbrzymią cudowną skrzynią, w której kryją się skarby mądrości Bożej, i do tej skrzyni powinien człowiek zaglądać, ile mu wzrok jego pozwala; ale samotny, odosobniony człowiek bez pomocy ludzi, bez wiedzy poprzednich robotników, bez wpływu ludzkiego, nie podoła wiele dokonać na tem polu. Boć i człowiek, jako całość wykończona w sobie, jest także drobniutką naturą, jest kartką owej księgi Bożej natury, jest tajemnicą dotąd nierozjaśnioną jeszcze, a więc potrzebuje i sam nad sobą pracować i w tajniki swego ducha zapuszczać wzrok; a sam sobie zostawiony na tem polu, niezaszedłby daleko, albo obrałby krzywą drogę. Powiedziałbym na to, że cały ten świat widomy jest nauczycielem tajemnym dla człowieka; ale i ludzie, którzy doświadczyli wiele i zrozumieli dobrze cel życia, są także nauczycielami żywymi, a jako żywi mają pierwszeństwo. Powiedziałbym, że ludzie powinni się zajmować wychowaniem, ale nie sztucznem jeno zastósowanem rozumnie do natury człowieka.

(C. d. n.)

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Po śmierci Edwarda III i Karola V. Anglia i Francya w równem ujrzały się położeniu. Tam 11stoletni Rychard IIgi ograniczonego i upornego umysłu, tutaj 12stoletni Karol VI. pomieszanych zmysłów, dostał się na tron. Nawet schizmy religijne dały się tu i tam we znaki. Król francuski utrzymywał papieża w Awinionie przeciw papieżowi w Rzymie, król angielski wspierał Wiklefa i jego zwolenników przeciw możnemu katolickiemu duchowieństwu w Anglii. Było zawieszenie broni między obudwoma narodami; lecz oba musiały dźwigać wojnę moralną i domową.

Ludwik, książę Anjou; Jan, książę Berry; i Filip, książę burgundzki, tudzież książę Bourbon, brat królowej wdowy, dobijali się o regencyą i opiekę nad młodym królem. Po uroczystości koronacyjnej w Reims odbył król-dziecko wjazd tryumfalny do Paryża. Blask tego pochodu miał przykryć i przygłuszyć nędzę ludu. Sztuczne fontanny płynęły mlekiem, winem, i wodą różaną, a w mieście chleba nie było. Lud się zniecierpliwił, domagał się groźno zniesienia podatków i mścił się na *poborcach Żydach.* Książę Anjou obiecał mu, czego się domagał. Ale, gdy na drugi rok zaczęto wybierać w Paryżu podatek za żywność do niego wprowadzoną, wszczęły się groźniejsze rozruchy. Mordowano poborców, łupiono i rabowano domy, klasztory i kościoły... Książę Anjou dla poparcia własnych interesów zdarł Francyą, zagarnął skarb królewski i wyprawił się do Neapolu, gdzie zapóźno przybył; umarł w Bari.

Książę Berry myślał także o sobie; uskromił powstania chłopów w Languedockiem; zdobywał jedno miasto po drugiem, i uczynił się udzielnym księciem na Langnedockiem i Gwiennie. Trzeci książę krwi królewskiej, Filip burgundzki, stał się de facto rządzcą państwa i czynił z królem, czego pragnął.

Okropności działy się wówczas nie w samej Francyi. Kiedy w Niemczech miasta walczyły ze szlachtą, helweccy włościanie na panów się porwali, wybuchło groźne powstanie ludowe w Anglii pod Wat-em Tyler-em i innymi. Począwszy od Flandryi (gdzie demokratyczne cechy z Gendawy pod wodzą bogatego właściciela fabryki *Artevelde* wyruszyły w pole przeciw swemu panującemu, Ludwikowi), aż po Piryneje i handlowne miasta Śródziemnego-morza... okropny wszczął się ruch godzący na szlachtę i panujących. Przeciw Niderlandczyków a na pomoc hrabi Ludwikowi wyruszył z natchnienia Filipa burgundzkiego, w towarzystwie swoich stryjów Karol VI. na czele wojska złożonego największej z Burgundów, Normanów i Bretonów. Ypres i innych kilka miast poddało się. Gendawowie, którzy 80,000 zdatnych do broni ludzi liczyli, postanowili stawić czoło i pod Roosebelle blisko Coutrac oczekiwali nieprzyjaciela. 27go listopada 1382 r. przyszło do bitwy. Mieszczaństwo uległo, i przeszło 26,000 trupa na pobojowisku zostawiło.

Gendawy nie oblegano. Wojska zwycięzkie wróciły do Francyi, postanowiono niemi pomścić się na zbuntowanych miastach. Przed wjazdem do Paryża, gdzie króla uzbrojone cechy czekały, wysadzono bramy z zawias, powalono na ziemię i po nich król i rycerstwo przejechało. Miasto złożyło broń. Rozpoczęło się śledztwo i egzekucya zarazem. Król z książętami krwie zasiadł na sąd w namiocie wystawionym na stopniach pałacu. Podwórze całe zalegli obżałowani, ich żony i dzieci. Kanclerz odczytał im wszystkie zbrodnie i bunty jeszcze od czasów króla Jana. Oczekiwano wyroku królewskiego. Powstał płacz i lament kobiet i dzieci. Książęta krwi rzucają się królowi do nóg, proszą o złagodzenie kary śmierci na kary pieniężne. Stało się jak żądano. Wypróżniony skarb znowu się napełnił. Podatki nawet podwyższono. Takiż sam los jak Paryż spotkał i inne miasta, a mianowicie Rouen, Reims, Chalons, Tryoes, Orlean i Sens. (1383) Komuny potraciły najważniejsze swoje prawa, władza królewska zyskała na wzroście.

O dwadzieścia lat później znowu się rozbudziły w Paryżu gwałtowne namiętności w skutek wzajemnej zawziętości partyi orleańskiej i burgundzkiej, która to zawziętość do tego stopnia urosła, że żaden dzień niemógł się obejść bez krwawych scen, a Jan burgundzki naostatek księcia orleańskiego kazał sprzątnąć ze świata skrytobójcom. Tem nie uciszyły się rzeczy. Partya orleańska, czyli szlachecka, podniosła znowu głowę, gdy na jej czele stanął odważnego serca hrabia Armagnac, z którym się sprzymierzył delfin. Partya ta wzięła sobie za cel zemstę na Burgundyi, i przytłumienie wzmagającej się ruchliwości miast, o które jej przeciwnicy właśnie się opierali.

Henryk Vty—którego młodociana lekkomyślność, również jak i szlachetność jego duszy, dostarczyły przedmiotu wielkiemu, nieporównanemu Szekszpirowi do jednego z jego arcydzieł—postanowił korzystać z tych smutnych we Francyi okoliczności i wydać jej wojnę. Za odmówieniem mu zwrotu zawojowanych prowincyj, wkroczył przez Calais do Francyi, i przypomniał pod Azincourt nad rzeką Somme nową klęską dawne pod Crecy i Poitiers. Armię francuską, czterykroć liczniejszą od swojej, pobił na głowę; kwiat rycerstwa francuskiego lub zginął, lub dostał się do niewoli; przed zwycięzcą była otwartą droga do Paryża, w którym w tej chwili zaciekłość partyj wrzała bez granic. Burgundowie, z którymi królowa Izabella weszła do spółki, podbudzili lud do buntu, zaczem Armagnaca i głównych jego partyzantów pozabijano w dzikiem gminu rozpasaniu. W odwecie przyjaciele zamordowanych strącili Jana burgundzkiego, podczas zejścia się jego z delfinem, z mostu do rzeki Yonne, w której też utonął. To właśnie spowodowało Janowego syna, Filipa dobrego, i królową Izabellę do uczynienia spólnej rzeczy z Henrykiem Vm, angielskim, do uznania go, wraz z następcami jego, dziedzicem korony francuskiej, i do postarania się o to, że parlament wyrokiem swoim zniósł prawo delfinowe do następstwa na tron Francyi. Wnet Henryk Vty, przy burgundzkiej pomocy, objął cały kraj na północ od Loary, gdy tymczasem delfin bezczynnie siedział w mieście Tours. Ale rzeczy ludzkie zawsze są niestałe, więc nielitościwa śmierć przerwała pasmo bohaterskiego żywota Henrykowi Vtemu, właśnie w tym samym 1422 roku, w którym i chory na umyśle Karol VIty oddawna omdlałe powieki zamknął. Henryk V. jak żył po bohatersku, tak i w bohaterskiej fantazyi żywota swego dokonał: bo, gdy w ostatnich chwilach odmawiając nad nim psalmy czytano następujące słowa: *aby się odmórowały mury Jerozolimy,* wyrzekł już bliski skonania: „O! gdyby mi Bóg był pozwolił życia i dał ukończyć wojnę we Francyi, byłbym się zabrał do zdobycia ziemi świętej. Po Karolu VItym, chociaż żył i skończył bez sławy, przecież lud płakał, bo widział w nim towarzysza i spólnika swoich cierpień i przynajmniej cień własnego króla—którego, gdy do grobu spuszczono, natychmiast rozległ się głos marszałkowski: niech żyje Henryk Vty z Bożej (bo niewierzymy, aby też wymówiono z angielskiej) łaski, król Francyi. Karol VIty smutnem był losu igrzyskiem: przestawszy istotnie żyć w 22gim roku swego wieku, roślinniał jeszcze lat 30. Trzech starszych synów umarło mu, czwartego wyparł się i wydziedziczył; najstarsza córka była za Rychardem IIgim angielskim, którego zamordowano, powtórnie za Karolem orleańskim, jeńcem angielskim aż do śmierci; druga była za księciem burgundzkim i ze zmartwienia umarła; trzecia, poszedłszy z przymusu za Henryka Vgo, we dwa lata powdowiała.

(C. d. n.)

FIDYASZ. *)

Wstąpił w świat mój — i utkwił głęboko
W zwierciedle duszy wspaniałe oko,
Tysiącznem słońcem odbija;
Harmonią zagrały kolory twarzy,
W prawicy kometa piorunów się żarzy,
A orzeł u stóp się rozwija.

I wstąpił w świat mój — i zniknął głazem,
Więc do głazu za obrazem!
Dalej! niechaj dźwięczy dłuto
Słodką harmonijną nutą!
Sadzi ogniem, iskry leje,
Marmur, jako śnieg stopnieje;
Z grubej zasłony, z ukrycia
Wskrzeszę mocą do życia!

Daremnie się bryła ociężała sili,
Dumny wierzchołek ku stopie nachyli,
Rozpierzchłym pociecze piaskiem,
Bo wnet okowy myśl wewnątrz poruszy,
Rozeprze pierś głazu — na jaśnią ruszy,
I wiecznym ustroi się blaskiem.

Jak się wykluwa, jak się natęża!
Teraz harmonijną nutą
W łącznej sile dźwięczy dłuto,
A gdzie ugodzi — zwycięża;
A gdzie zamierza — stanie.
Konaj niekształtny bałwanie!

Tak gdyby ziemia niebo widzieć chciała,
(Kiedy od wieków w lot wydęta bania
Na niej się sparła i widoku zbrania),
A gdyby ziemia przecież widzieć chciała —
Potrzęśnij barki i zwal dawne brzemię,
Niech mi czerepem bania zaraz dzwoni,
Zato się niebo nagnie w wolną ziemię,
Zato się oku nowy świat odsłoni.

I ot! pierwszy promień przebił wrota,
Po zwaliskach tryumfując kroczy,
Gładki, giętki jako ton się toczy,
Jeśli z fletni muzyk go wymiota.

*) Autorem tego wiersza natchnionego jest Jan Kanty Szymański, urodzony 1813 roku w Samborze, zmarły tamże 1836. Ten, przedwcześnie dla literatury zgasły, szlachetny młodzieniec skreślił te rymy licząc lat ośmnaście. Zaimprowizował *Wstęp w natchnieniu* w obecności Augustyna Bielowskiego, Wincentego Pola i Leona Koreckiego, którzy na jeniuszu jego zaraz się poznali. Jak wiadomo: Fydyasz, sławny rzeźbiarz grecki, przedstawił Jowisza olimpijskiego, w chwili zwycięztwa nad Tytanami; nasz poeta przeciwnie przeniósł go do wieku swego, zbrojącego się do walki. Oto myśl główna tego utworu.

J. D . . . . cki.

Tak gwiazda, co zorzą się wznosi,
Choć w ziemi przetchlinach utonie,
Nazajutrz na wschodzie zapłonie
I hasło po niebie roznosi:
„Gwiazdy! siostry! jak ten obwód wielki,
Myryady — drobne jak kropelki,
Choć myryady, blade, w bieg zawisłe;
Spłyńcie, spłyńcie w jedno sprzęże ścisłe,
I świetniejszą jedną świećcie gwiazdą!"
I w świetniejszem jednym wschodzą słońcu. —
A wiecie, gdzie legły Egiptu pustynie?
A wiecie, gdzie zasiadł posąg Memnona?
Jeśli podróżny utrudzony jazdą
U stopy jego ze świtem zawinie,
Słyszy, jak z olbrzymiego łona
Melodye cieką, dziw mu otwiera
Wygięte usta, szeroko spoziera;
Uchem wysyła i pojąć nie umie.

O! i niepojmą nikczemni i prości,
Ich słuch jak skała na dźwięk wyższy zimny:
Aż tu i owdzie i w nieznanym końcu
Niejedna dusza szlachetna zrozumie,
Gdy głosu sięgnie, wstanie, do jedności
Przy modłach pocznie uroczyste hymny.

Więc mi witaj promieniu raz wszczęty
Mocą ducha z głazu znowu jęty,
Niech twe hasło rój odległy myśli
W jeden wieniec, w jedno słońce skreśli!
Siej w ten posąg twego Bóstwa ziarno,
A mam braci, co raz plon ogarną.

Dalej! niechaj dźwięczy dłuto
Słodką harmonijną nutą,
Sadzi ogniem, iskry leje!
Marmur jako śnieg topnieje.
Z grubej zasłony — z ukrycia
Wstaje mocą do życia!

* * *

Jak obłok zapada powłoka mglista,
Z głębi wygląda twarz promienista,
Na twarzy zagrały kolorów strumienie,
Które—jak tęcza, co gdy się wywinie
Z niebios, półkolem cudownem spłynie,
I ziemi całusem się poi,—
Do oka lecą, by w lotnej fali
Swą piękność kąpali.

A ja sternik śmiały,
Me dłuto jak wiosło

Nad korab idei wzniosłem,
I żegluję po oka morzu;
A w niem świat cały,
A w niem duszy ukrytej
Jak błękitu strop odbity.
W niem myśli Jego — co jak sfery łabędzie,
Wnątrz głowy krążą —
Odcieniowane czytam w przepędzie;
Potężne — olbrzymie —
Twórczość ich imie,
Ciągle dążą
W nieskończoność—
Boskiej duszy — Boska skłonność:
Działać w nieskończoność —

I ja działam — i widziałem
Te gwiazdy, te pomysły,
Jak przyjaciół mych witałem;
Cudu kraje, przed okiem zabłysły,
Harmonie zawrzały, wytrysły —
A ja leciałem.

Duch, lekka postać,
W nadziemskie światy
Swem skrzydłem potonie —
Zbiera kwiaty,
Blask i farby,
I nie może długo zostać —
I powraca z swemi skarby
Ku ojczystej stronie:

Ni wyższość ducha, ni złoto
Miłośc w nas tępi lub zaćmi;
Patrzym z wieczną tęsknotą
Za lubą, niewinną prostotą,
Za ukochanymi braćmi.

Duch-nurek w zamęty zbiegnie,
I w spoczynku nie legnie —
Choć burza czyha — wybiera korale,
Nieznane perły z pospólstwa kłuje,
I znów przez życia burzliwe fale
Do braci z podarkiem żegluje.

Przypłynąłem!
I jak gwiazdy pod niebami,
Pod tem czołem
Dwojga oczu rozwinąłem,
Duże, mówiące, silne,
Jako prawda nieomylne.

O! te oczy rwiące,
Oczy kochające,
Popatrz w te oczy!
Milion sfer się w nich toczy —
Tam odwieczna miłość, bóstwo...
Ideałów mnóstwo —
Duszy klejnoty.
A jak brylanty: wiąże pierścień złoty,
Oko... duszy klejnoty.

Znam duszę twoją, ten gmach bogaty,
Byłem w nim przed laty,
Pamiętasz? jam Grek ubogi,
Przyszedł w twe progi,
Do olimpijskiegom zmusił cię kościoła.

Już zbór zgromadzon z uniesieniem woła.
Jowisza oglądać będziem — Jowisza,
Bo zbór nieszczęsny poniżon zepsuciem,
Dotąd go ledwie poznawał przeczuciem.

I coraz więcej wre ciekawa cisza,
I coraz mocniej liczny tłum się ściele,
Złość się sromoci, cieszą przyjaciele,
Że im odkryję takiego przybysza.

Z narodem żyję, dla narodu żyję,
Kto co mógł zebrać w życia swego wiośnie,
Niech narodowi poświęca radośnie,
Jam poznał Boga — ja Boga odkryję!

Jak się marmur z dłutem łamie!
Myśl schronioną oddać wzbrania,
Już słabnieje — już się skłania.
Trudno tryumfem stanąć w celu bramie,
Hartowna w pole musi ciągnąć siła:
Marmur, blask, farba idą do odporu —
Gdyby przyroda z nami niewalczyła,
Jakażby inna tajemnica była
Boskiego tworu, a ludzkiego tworu?

Odsłoniłem! — Pomroka spływa —
Ty wstajesz, zwycięzca wyniosły, wspaniały,
A w ręku ci rószczka oliwna powiewa,
O! tyś zwycięzca nad zwycięzcami,
Tyś zwyciężył nad sercami,
Tyś zwyciężył naród cały.
Promienie oblicza twego— to strzały,
Zdobyłeś czucie złego i dobrego,
I teraz Helas jedno serce — mienie,
W twym wzroku jednym—jedno ma więzienie.

A ty Jowiszu mówisz: ten naród we mnie!
A z narodu wszelki,
Jak ty teraz wielki,

Choć uległ, poczuł się i myśl zorężył
Kochaniem wzajemnie,
Nawzajem ciebie kochaniem zwyciężył,
I mówi: Jowisz jest we mnie!

A gdzież ten naród, co cię sercem trzyma?
Czy już go niema?
A gdzież ta szczytność, ta siła olbrzyma?
Czy już jej niema?
Ale mówię, że istnieje,
Ciałem skrycie,
Ale duchem —
Duchem są pamiątki, dzieje —
Duchem, mocnem trwałem życiem,
Po wiek wieki zielenieje.
Tyś łańcuchem,
My ogniwa —
Ha! a któż nas porozrywa?

(Dok. nast.)

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

I.

O wszystkich i o wszystkiem.

Irma do Zofii.

(List ten był napisany po francusku, lecz spolszczyliśmy go, by czytelników nie razić, zostawiwszy wszelako tu i owdzie wyrażenia obce: angielskie i włoskie, dla lepszej charakterystyki).

Zabrzezie, 2go września 1859.

Powracaj co rychlej, powracaj, bo zanudzę się pewnie! — Jesteśmy w Zabrzeziu od dwóch tygodni, które dla mnie dwoma stały się wiekami!... Wracaj, ażebym przynajmniej miała powzdychać przed kim!

Tęskno mi za ukochanym Paryżem; za tym ruchem, pełnym powabu, uroku; za tym zgiełkiem bezprzestannym, pełnym dla mnie melodyi; za cudnym pryzmatem barw przeróżnych, snujących się, niby wstęga, niby uplot z kwiatów po ulicach tej rozkosznej stolicy świata! — Och, czemżeż jest dla mnie woń ogrodów waszych, czy tam naszych, pól, łąk i lasów, w porównaniu z wonią bulwarow paryskich?!... Zofio, ty nie znasz tych czarów!.... Biedaczko, żałuję ciebie! Jesteś jak kwiatek, który nigdy blasku słonecznych nie zaznał promieni!

Ojciec na przyjęcie nasze świątecznie przybrał Zabrzezie, i jest tu ładnie, wcale ładnie, elegancko i *comfortable* — ależ nudno, nudno na śmierć, bo ludzi nie masz! — Opera dla mnie jest kwiatem życia — potrzebą — a tutaj chyba tylko posłyszę świegot nieznośnego ptastwa, cierkanie świerszczów, rzekot żab... i odgłos rzępałów karczemnych! Rozpacz to, istna rozpacz, Zofijo!... Możnaby *Aqua-Tophana* zażyć! — *A propos* tej *aqua*, przypomniałam sobie Włochy: kraj uroków i czarów!... *Master of life!* a siedzieć muszę w Zabrzeziu!?... Gdzie włoskie niebo? Gdzie kwietne niwy Florencyi?... Cudne dźwięki barkaroli — pluskanie gondoli — *il canale grande!*... *Venezia! Venezia la divina!*... I siedzieć muszę w Zabrzeziu! — Pięć miesięcy we Włoszech przeżyłam! A w jakiem towarzystwie! Wszystko ludzie *of fashion*. — Teraz umrzeć z nudów potrzeba.

A jeszcze nielitościwy papka nie chce mi *vollbluto*wego wierzchowca sprowadzić, i raczej mam tylko na jakiejś starej Rosynancie jeździć. Jestem pasyonowana dla pięknych chyżonogich arabczyków — gonić po polach i sadzić przez rowy; ależ ojciec z uniesieniem wyrzekł: że na takie nie pozwoli szaleństwo! Burzy się nawet, gdy zacznę mówić o wyścigach — o *steeple-chase*, o *Jockey*ach — twierdząc, że to brzmi niedorzecznie w ustach kobiety; że tem nie zalecę się tutaj bynajmniej i t. p. — Och, to jest czysty barbarzyniec! Więc i mamę *jakoś* przerobił, przekonał, nastąpiły perswazye... i zrezygnowałam. Wywlokę się czasem w towarzystwie papki, poważnie zupełnie, na jakiejś bronowłoce, że aż ckliwo się robi, i to jest wszystko. A mam tak ładne kostiumy do konnej jazdy: kapelusiki, w których mi jest ładnie. Och, *mizeryo* życia!

Odwiedziliśmy rodziców twoich, a jakaż to nudna i męcząca była ta dwumilowa podróż do Tarlina, po piaskach i korzeniach! Byłam złamana. Także nieszczęście mieć chciało, żeśmy tam zastali parę nieznośnych, czysto *prowincyonalnych figur*, niby z parawanu zdjętych. Gdybym była miała pośmiać się z kim, podowcipkować, analizować ich ruch, ubiór i mowę, byłabym się ubawiła trochę. Lecz musiałam wszystko w sobie zachować, bo do mamy nie było przystępu, a rodzicy twoi, uważałam, że są dla nich z pewnym szacunkiem. Był tam jakiś jegomość, który żonie mówił *serdeńko*; miał frak z przeszłego stulecia, buty okropne, rękawiczki szafirowe; ona krynoliny nie nosi wcale! Małżonkowi mówi *mężu* — a gadała o pannie służącej, o *mleczywie*, i już nie wiem o czem, bom do ogrodu uciekła. Zabrałam z sobą na szczęście jakiś romans *Montepina*, i czytałam.

Jakżeż ty teraz wyglądasz Zofijo? Pięć lat sformowały ciebie, i bardzom ciekawa jak wyglądasz. Szukałam w Tarlinie portretu twojego, fotografii; ale napróżno! Jakażeś ty teraz?... Byłaś ładnem dziewczątkiem, kochałyśmy się, lalki stroiłyśmy śliczne, tańczyłyśmy *la cachoucha* pospołu, grałyśmy na cztery ręce, i niby to jedna drugiej prześcignąć nie mogła! A jakżeż jest teraz?... Och, ciebie zagrzebali w Tarlinie!... *Paverina!*

Musisz często do Zabrzezia przyjeżdżać, ażebym z nudów nie uschła. Zżółkłam już, oczy mi przybladły — i gnę się we dwoje pod ciężarem nudów.

Byłyśmy z mamą także i w Lubońsku, by złożyć czołobitność głowie rodziny naszej, najszanowniejszej *grande-tante*, przezwanej czule babunią. Bawiłyśmy tamże dni dwa, a... raczej — nudziłam się. — Dziesięć mil podróży, dzięki przemysłowi zagranicznemu! ułatwione teraz zostały przez kolej żelazną, a na dworcu, o pół mili, czekała nas wygodna kareta babuni-marszałkowej.

Babunia — Lubońsk — to *exhibicya* tutejszego *highlife*. Pałac, park, służba, kuchnia — wszystko jest *bon genre* — lecz nudziłam się: było wszystko; ale ludzi nie było. Babunia, dobra sobie staruszka, mówiąca wcale dobrze po francusku, polska *grande-dame*, jest zupełnie zadowoloną ze swojego kółka. Pani Bieniewska, którę ciocią zwiemy, jest arcy-polska, arcy-skrupulatna, a zatem i arcy-nudna. Znalazłam w budoarze babuni *Da-*

niela, Ernesta Frydeau, i szczęśliwie zasiadłam sobie z tem lekarstwem... na nudy. W tem nadchodzi pani Bieniewska, i zgorszyła się strasznie, gdym jej powiedziała, że już po raz drugi *Daniela* czytam. Zgorszyła i zmartwiła się dobra ciocia!... Ależ ja tobie piszę, niby o *żelaznym wilku*, bo pewnie i słówka niewiesz o *Danielu* i t. p. utworach; ciocie, kuzynki, babunie, pewno ograniczają każdą literkę troskliwie, którę masz przeczytać. *Paverina!* Otóż to życie na prowincyi!

Panna .. jakżeż się nazywa ta bawiąca przy babuni kuzynka? ma już latek trzydzieści przeszło, a nie dozwolono jej *La Borghetta* przeczytać! Śmiech pusty bierze. Przyjemna ta osoba; ale zawsze trochę parafianka. Podobno kochała tam raz kogoś, ten ktoś... umarł—pozostała mu wierną, i za mąż nie poszła i nie pójdzie. Rzadki egzemplarz! Musiała być ładną, bo i teraz wcale jeszcze dobrze wygląda.

Był tam w Lubońsku i proboszcz stary — och, Boże! jakiż to sobie prosty ten *monsieur le curé!* — Przyjechali i jacyś panowie; lecz wszyscy byli... nudni

Widziałam pałacyk w Kalinówce, postawiony dla faworyciątka babusi. Przywieźli tam właśnie meble i t. p. Pałacyk ładny, położenie wcale ładne: na wzgórku, na tle lasu, ponad jeziorem, z widokiem wprost na pobliski Lubońsk. Ogród założony w czysto angielskim guście, kwiatów dużo — o! bo Kalinówka, jak miarkuję, to pieścidełko babusi! — Pan Jerzy wszelako nie przybył dotąd; ale jest spodziewanym każdego dnia i godziny.

Wyobraź sobie, że w całej okolicy przewidują we mnie narzeczoną pana Jerzego. Śmiesznostka prawdziwie parafiańska! Ploteczka prowincyonalna!... Zresztą, Kalinówka mi się podoba, majątek znaczny, a pana Jerzego chwalą wszyscy. Widziałam fotograf jego w Lubońsku, i przyznać muszę, że ten młody Ukrainiec wcale jest przystojny. Ale... gdyby!... To musiałabym mieć dzielnego arabskiego *vollbluta*; pan mąż musiałby ze mną na zimę do Paryża pojechac, a przynajmniej do Wiednia albo do Drezna, bo przecież niepodobna dać się *zaśnieżyć* w Kalinówce, choćby nawet dwa lub trzy razy ładniejszą jeszcze była. Przeto do Paryża przynajmniej co trzy lata, a w inne zimy do Wiednia lub Drezna — i co trzy lata na jesień lub na wiosnę do Włoch. Bo i cóżbyśmy ciągle w Kalinówce robili? Zabiłaby nas nuda, albo też znienawidzilibyśmy się nawzajem.... i uciekli jedno od drugiego! Robię plany na przyszłość, jak widzisz. — Ciekawam poznać tego *monsieur George*, wychowańca stepów ukraińskich. Stepów?!..., To nie bardzo zaleca! — Ależ wiem, że był i za granicą — w Paryżu, w Londynie, że to *poetyczna* jest *natura*, jak mówiła pani Bieniewska, która jest wielką jego wielbicielką. Porównała go nawet z którymś bohatyrem poety Bohdana Zaleskiego; ale nie pomnę z którym, bo wyznam szczerze, że mi te poezye ukraińskie nie wiele są znane. Pani Bieniewska na to struchlałaby pewnie, i babunia *grande-tante* pokręciłaby głową z przyganą. Ale... cóżem ja temu winna?! Zapytaj bociana: dla czego odlatuje na zimę? — Ah!.. Zofijo, westchnęłam ciężko! —

Jakież to te wasze towarzystwa!.... Jestem demokratką, zakochałabym się i w stolarzu nawet (jak hrabianka *Yscult* w *Le compagnon du tous de France)* gdyby mi się spodobał, ależ to... wasze — obywatelstwo!... To chłopstwo!... Mnie do życia mojego potrzeba *high life* stolic i ludzi *of fashion.*

Wracaj, lubo że tobie jest dobrze w Warszawie, wśród ruchu i towarzystwa wielkomiejskiego. Wracaj! bo liczę na pewne, że z mamą na zimę wyjedziemy do Drezna— inaczej... strawiłaby mnie najstraszniejsza—*nostalgie.* Mama już przyrzekła, boć i ona ma smak *towarzystw le pszych.* Może z nami pojedziesz, Zofijo? Ty znasz dotąd Warszawę tylko — Warszawę bez dworu, bez wielkiej opery, bez lasku bulońskiego i *champs elysées* — więc, więc... i Drezno ciebie zadowoli. Dla mnie jest ono mieściną; ale przecież nie *prowincyą!* Ma operę piękną, ma dwór królewski, chociaż niewielki, i zimę tam niezgorzej przepędzić można. Więc wracaj!

Addio carissima!

Irma.

Istotą, która list powyższy nakreśliła, była córka państwa Wągrowskich na Zabrzeziu, wychowana, niestety! za granicą, przez matkę próżną i nieoględną, której słaby, lubo rozsądniejszy małżonek, w niczem oprzeć się nie potrafił. Irma była śliczną: brunetka, biała, świeża, z wielkiemi czarnemi oczyma, z uśmiechem powabnym, z wyrazem pełnym wdzięku i dowcipu; wysoka, kształtna, gracyi nieokreślonej, z wielką rutyną życia salonowego. Ubierała się wykwintnie i ze smakiem; grała artystycznie, śpiewała czarująco; mówiła kilkoma językami; znała masy angielskich i francuskich romansów; malowała ładne akwarelle; mówiła nie mało o operze, o dramacie; tańczyła nieporównanie; ale była czczą, jak bańka mydlana; powierzchowną, jak pastelowy obrazek — chłodną, jak gwiazda na zimowem niebie.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Mości Redaktorze!

Trudny obowiązek wkładasz na zgrzybiałego twojego przyjaciela, żołnierza z powołania; któryby wolał batalion do szturmu prowadzić, aniżeli szermierzyć piórem; lecz czegóż się nie czyni dla dobrych ludzi?! obligujesz mnie w ostatnim swym liście, abym ci opisał stan Teatrów w Królestwie Polskiem, ich początek, wzrost i upadek; że jako obywatel i amator teatru od lat sześćdziesięciu zamieszkały prawie ciągle w Lublinie, miałem sposobność widzenia wielu Towarzystw dramatycznych, goszczących po różnych miastach Królestwa, czyli tak nazwanej kongresowej Polski, tego nieprzeczę; ale żebym ztąd miał nabyć prawa do wydawania sądu o tej tak ważnej instytucyi naszego kraju, o tem nigdy nie marzyłem; i list WMPana wprowadził mnie w niemały kłopot, z którego, Bogiem się świadczę, niewiem jak wybrnę? Ale co tam? *Audaces fortuna juvat!* czyli śmiałków psy gryzą: jak mówi przysłowie; biorę pióro do ręki w tem przekonaniu, że, jeżeli się w czem pomylę, to Waszmość swojem wprawnem piórem skorygujesz, wygładzisz i wyłatasz, jak można.

O początku teatrów w Polsce rozpisywać się nie będę wiele, bom jeszcze wówczas ledwie żył na świecie, a tem samem rozumie się i widzieć ich niemogłem; o ile słyszałem, król Stanisław Poniatowski, zaprowadził na swoim dworze pierwszy teatr francuski, a póżniej dopiero pani Truskolaska, bardzo światła dama, założyła trupę aktorów z osób wykształconych, którzy poczęli dawać widowiska sceniczne w języku polskim; to, jak się zdaje, zachęciło wiekopomnego Wojciecha Bogusławskiego do założenia towarzystwa artystów na więk-

szy rozmiar, do zaprowadzenia szkoły dramatycznej, i do ustalenia teatru narodowego w Warszawie; od tego czasu począł się wzrost polskiego teatru, który się szczycił wielu znakomitościami artystycznemi; wzrost ten trwał aż do roku 1831,— nieszczęsne wypadki stanowią epokę i w dziejach wszystkich teatrów w Królestwie, od tego bowiem czasu datuje się upadek sceny narodowej. W skutek zaprowadzenia ostrej cenzury teatralnej znikły ze sceny wszystkie dzieła klasyczne: tragedye, dramata—a nawet i kontuszowe komedye; w ich miejsce pojawiły się dramy francuskie, melodramy niemieckie, lekkie wodewille i balety, które więcej wywierały wpływu na zdemoralizowanie młodzieży, aniżeli na poprawę smaku estetycznego. Jeszcze za prezesa teatrów ś. p. jenerała Rautenstraucha, (który staraniem swem wyrobił dla artystów warszawskich emeryturę,) obok baletów, widzieć było można dobrze przedstawiane opery w języku narodowym, i niektóre dramata, do czego najdzielniej się przykładał ś. p. Bonawentura Kudlicz, dyrektor-reżyszer wielkiego teatru i profesor szkoły dramatycznej, z której wyszło kilka utalentowanych indywiduów, jak naprzykład pani Halpert z domu Żuczkowska, Palczewska, Daszkiewiczówna, Piasecki, Jasiński, Baraniecki, Majewski i wielu innych; dzisiejsza szkoła pomimo podwojonych usiłowań, jakoś niewydała dotąd jeszcze artysty, którymby się scena warszawska poszczycić mogła. Po zejściu ze świata jenerała Rautenstraucha, został mianowany prezesem dyrekcyi teatrów pułkownik żandarmeryi i oberpolicmajster warszawski, pan Abramowicz; pierwszym jego czynem było rozpędzenie artystów opery polskiej, a sprowadzenie opery włoskiej, która tak bajeczne sumy pożerała, że w przeciągu trzech lat do 500,000 złp. oszczędzonych przez poprzedniego prezesa, rząd był przymuszony dołożyć jeszcze 300,000 złp. Różnie mówiono o tej administracyi, ale, to wcale do rzeczy nie należy, zauważałem tylko, że od czasu pojawienia się owego prezesa teatru, scena polska coraz bardziej chyliła się do zupełnego upadku, za co wdzięczni Warszawianie pożegnali go w przeszłym roku czułą serenadą, tak zwaną kocią muzyką.

(C. d. n.)

Gawędy panny Reginy.

(Ciąg dalszy).

Panowie młodzi zapewne udadzą się na spoczynek, bo jutro skoro świt strzelby na plecy, i marsz na polowanie! zaspać nie zaspimy, bo zacna Resia nas zbudzi, ona równo z pierwszym śpiewem koguta już na nogach, i... ktokolwiek w domu życzy sobie wstać rano, niech się tylko poleci jej opiece; choćby go miała za nogi ściągnąć z łóżka, to ściągnie a obudzi.

— Spodziewam się, iż niebędziemy tak ospałymi, żeby nas aż za nogi ściągać było potrzeba — rzecze pan Feliks.

— Niemówmy hop! aż przeskoczymy — odpowie Resia — a nużby się panom tak stało, jak owemu pastuchowi z Przybysławskiej Woli?

— A cóż mu się stało panno Regino?

— Niedługać to historya, więc ją wam opowiem: Lat temu 40 z górą, był w Przybysławskiej-Woli gromadzkim pastuchem niejaki Wojtek Zaciera, sierotka, w dziecięctwie swojem był strasznie łakomym, zakradał się po sąsiednich ogrodach, wyrywał marchew, rzepę, groch garściami wydzierał, a najbardziej lubił pasternak; otóż razu jednego zakradłszy się na cudzy zagon, nakopał pasternaku całą zapaskę, jednak się nieboraczek pomylił, bo to nie był pasternak ale trucizna. otóż ugotowawszy sobie owego pasternaku u kowala w kuźni, zjadł cały garnczek z wielkim apetytem, na złe mu też wyszło owo łakomstwo, bo zaraz w pół godziny dostał najokropniejszego szału, i ledwie go Małgorzata, doktorka wiejska, mlekiem i oliwą jakoś uratowała; chorował długo, a przyszedłszy do zdrowia, widać... w skutek tego jadu, stał się okropnie ospałym, i nieraz trzeba go było dotkliwie budzić, nim się podniósł z posłania. W kilka lat, kiedy... z owego Wojtka niedorostka... stał się Wojciech parobas, i kiedy go już po tak dotkliwej lekcyi łakomstwo ominęło, gromada jednogłośnie obrała go sobie za pastucha; był też chłop roztropny, i nigdy bydła w szkodę niewpędzał. Pewnego wieczora bydło samo do wsi powraca bez Wojtka, i brakuje z trzody dwóch baranów i jednego wieprzaczka roczniaka; pobiegli parobczacy po pod lasek, gdzie zwykle Wojtek bydło pasał, szukają, wołają, wszystko nadaremnie—aż dopiero w głębi lasu znaleźli ślady krwi; jakieś kości, niby ludzkie, niby zwierzęce. Przestraszeni wrócili do wsi i opowiedzieli to starszym; po rozmaitych domysłach na to się zgodzili najmędrsi, że wędrowna kupa wilków porwała trzy sztuki z trzody, że Wojtek chciał je odstraszyć, zapędził się w głąb lasu gdzie rozszarpały go wilki. Obrali innego pastucha z gromady, i na tem koniec. We dwa lata po tem zdarzeniu, na jarmarku w Markuszowie, pojawiła się banda Cyganów z niedźwiedziem, a był to niedźwiedź bardzo uczony— umiał tańczyć radamaszkę, krakowiaka, i umiał grać na fujarce; ciekawa gawiedź tłumem biegła za niedźwiednikiem, a tymczasem bracia Cyganie kupowali z wozów, co mogli, bez pieniędzy; była tam i stara Bartkowa, kowalka z Przybysławskiej-Woli; gapiła się na niedźwiedzia jak i wszyscy, a niedźwiedź wyskakiwał różne szprynce, zajadał kiełbasy, wypijał gorzałkę z flaszki, i jakoś się trocha upił, bo się począł zataczać, i w chwili, kiedy się silił na nowe susy, trącił się o Bartkową, popatrzał na nią, i nie wiele myśląc zawołał: jak się macie Bartkowa?! — zgiełk się ogromny zrobił, zewsząd wrzeszczą: niedźwiedź zagadał, niedźwiedź przemówił! Niedźwiednik upominając pijanego niedźwiedzia, aby sobie niepozwalał za wiele popularności, uderzył go kijem po grzbiecie. A niedźwiedz wrzeszczy w niebogłosy: „O Jezus Marya! za cóż ty mnie tak katujesz?!“ — był przytem obecny pan burmistrz; zwołał pachołków, i kazał aresztować niedźwiedzia i niedźwiednika, bo nie mógł sobie ani raz przypomnieć: w której to akademii niedźwiedzi uczą mówić. Niedźwiednik zawinął się w tłumie i znikł z jarmarku wraz z innymi Cyganami, tylko sam niedźwiedź dostał się do kozy. Później pokazało się z protokułów, że dwa lata przedtem.. wędrującym Cyganom zdechł stary niedźwiedź — zdjęli z niego skórę w lesie, a— wdawszy się w rozmowę z Wojtkiem, pasącym bydło,— upoili go, a.. gdy ten zasnął twardo podług swego zwyczaju, zaszyli go w skórę niedźwiedzią, potem, wziąwszy dwa barany i prosiaka ze stada, powędrowali dalej. Wojtek, gdy się obudził, już był w Galicyi, a niewiedząc, co to wszystko znaczy czy czary, czy uczynek? znosił wszystko cierpliwie, zwłaszcza, że panowie Cyganie umieli kijem zmuszać do milczenia. Wyrozumiawszy całą sprawę pan burmistrz, skórę niedźwiedzią zatrzymał sobie za fatygę przy protokóle, a Wojtkowi kazał dać zgrzebną koszulę, parcianne okoliczności itd. i kazał mu wracać do Przybysławskiej Woli. Otóż to takie nieszczęście z ospalstwa spotkało biednego Wojtka; ale niemyślcie panowie, żebym wam

chciała przemawiać, albo do was stósować, ot zwyczajnie powiastka, zresztą Wojtek był prostak, a panowie uczeni ludzie — chociaż Bogiem a prawdą żyjąc, i niejeden uczony na to się uczył pół wieku, aby swój prosty rozum na nic wykoślawił, jak naprzykład ten Aron, ojciec karczmarza w Końskowoli. Był to Żyd tak ciężko uczony, tak po całych dniach siedział i ślepiał w swoich bibliach, że i słowa od niego dowiedzieć się nie można było; razu jednego zajechał jakiś szlachcic na nocleg do ich karczmy, a... widząc zgrzybiałego Żyda, podpartego łokciami nad jakąś księgą, i strasznie coś rozmyślającego, zbliża się do niego i zapytuje:

— A o czem tak panie arędarzu rozmyślacie?

— At! pan byś tego i za sto lat niezrozumiał;— odpowiada stary — Szlachcic, tą odpowiedzią jeszcze bardziej rozciekawiony, woła: daj butelkę starego miodu, dwie lampki! Przysiada się przy Aronie, nuż go częstować i prosić, aby mu wytłómaczył, co tak interesującego w tej księdze wyczytał? Aron po drugiej lampce pogłaskał brodę, otarł chustką zroszone czoło, i rzecze z wielką poufnością:

— Oto widzi jegomość, jest to księga Myszna, bardzo uczone dzieło, przez najsławniejszych rabinów pisane.

— A o czemże oni w tej księdze traktują?

— O wszystkiem. — O wszystkiem?—Tak jest, o wszystkiem; naprzykład jest tu jeden taki ustęp, tylko niech jegomość uważa: Gdyby na całym świecie ze wszystkich gór bula jedna góra, jaka by to buła wielka góra!? gdyby ze wszystkich drzew, sosenki, dębinki, brzezinki, buło jedno drzewo, jakie by to buło wielkie drzewo? gdyby ze wszystkich mórz buło jedno morzie, jakie by to wielkie buło morzie? gdyby ze wszystkich ludziów na świecie buł jeden człowiek, jaki by to buł wielki człowiek!? gdyby ze wszystkich siekierów, toporów, buł jeden topór, jaki by to buł wielki topór. — Aj waj! a gdyby ten wielki człek, wziął ten wielki topór, poszedł na ten wielki gór, ściął ten wielki dąb... a ten wielki dąb, żeby wpadł w ten wielki mórz, jaki by to wtenczas na świecie buł a grojse wielki plusk!? Aj waj mir!

— I to już wszystko?

— Nu wszystko, a czy to jeszcze jegomości mało?

Szlachcic wstał jak niepyszny, i pomyślał sobie w duchu: na cóż mi się zdało wydać pół dukata za butelkę starego miodu? chciałem się ciekawych rzeczy dowiedzieć... stało się.

— No dobranoc kochana Resiu, tybyś całą noc bajdurzyła, a panowie sfatygowani radziby wypocząć — tak przemówił gospodarz i odprowadził swoich gości do oddzielnego pokoju.

Na drugi dzień, równo ze świtem, trzej myśliwcy już ubrani na polowanie, zajadając gorącą polewkę piwną, bo ta lepiej rozgrzewa niż kawa, zwłaszcza w czasie chłodnego i mglistego poranku jesiennego, gotowali się jakby na jaką wielką wyprawę; dwóch chłopaków wiejskich, jeden prowadzący charty na smyczy, a drugi niosący potężny kosz obficie wyładowany prowiantami myśliwskiemi, zajadając także swoim dworem u progu barszcz zabijany serwatką i kartofle ze słoniną, szeptali z cicha do siebie jak też daleko i w którą stronę pójdą na polowanie? a kasztanowaty wyżeł, leżący poważnie przy nogach pana D., jako stary faworyt dopełniał obrazu przedsięwziętej wielkiej wyprawy myśliwskiej; weszła Resia, i jako ochmistrzyni rodziny, upominała pana Stanisława, aby się z panami zbytnio na bagna niezapuszczał: bo tam są gdzieniegdzie niezgłębione topiele, i już było kilka smutnych wypadków, że myśliwi ginęli bez śladu— a w końcu dodała:

— Co to za śmieszna junakerya u tych mężczyzn! obuwie, suknie niszczą, zdrowie rujnują, a często i życie narażają dla marnej satysfakcyi, że tam czasem przytrokują do torby myśliwskiej zająca, częściej parę drobnych ptasząt, a najczęściej z niczem do domu powracają.

— Załóż się Resiu, że dziś z ogromnym łupem powrócimy do domu — rzecze gospodarz.

— Co się mam zakładać, albo to ja Angielka jaka? ja wam i bez zakładu powiem, że co wy upolujecie, to ja się podejmę na palcu upiec.

— A gdybyśmy też sarnę upolowali?

— A wielkie rzeczy, tobym sobie wówczas tak poradziła, jak owa żona strzelca, co swemu mężowi podobnież wróżyła, gdy szedł na polowanie; na nieszczęście mąż wrócił do domu z trzema drobnemi ptaszynami — na masz babo! piecz na palcu jakeś powiedziała! zawołał — struchlała nieboga, wiedziała dobrze, że nie przelewki, bo rzadko kiedy wracał do domu trzeźwy, a po pijanemu na nic nie miał względu. Wybiegła tedy do stodoły, wybiła siekierką jeden palec z brony, opłukała, ptaki oskubała, oprawiła i nuż na tym palcu obracać. Mąż się przygląda i pyta: a naczem ty ptaki pieczesz? A na palcu z brony! — Z brony? — a cóżeś chciał, żebym na swoim własnym je piekła? Chłop się zadumał i pokiwał głową, i pomyślał sobie w duchu: Mądra baba, mądrzejsza odemnie, nic z nią nie poradzę. Na tem się skończyła owa straszna historya.

— Panowie, komu w drogę temu czas — zawołał gospodarz, powstając ze swego krzesła, za jego przykładem powstali i goście. — Bądź zdrowa Resiu!

— Bądźcie zdrowi, życzę szczęścia! a uchowaj Boże od jakiego wypadku!

— Dziękujemy! dziękujemy! — i tak panowie myśliwi wyszli na dziedziniec, a poczciwa Resia starym obyczajem błogosławiła im znakiem krzyża świętego.

(C. d. n.)

Dnia 17 października odbył się pogrzeb ś. p. Józefa Mączyńskiego, literata, który zgasł dnia 14go b. m. przeżywszy lat 57. Pokój jego popiołom.

Przemysł. W Londynie zawięzuje się stowarzyszenie, urządzić mające wystawę nieustającą, z odmiennem celem, niż dotychczasowe przemysłowe wystawy, a ważnemi dla międzynarodowych stosunków. Ma tedy urządzonym być w samem sercu Londynu, w City, wielki gmach publiczny, a w nim wystawione będą najlepsze i najnowsze wzory i utwory przemysłu, aby kupcy i komisyonerowie angielscy o każdej porze i szybko zapoznawać się mogli z nowo pojawiającemi się wynalazkami, wyrobami i t. p., i zamawiać je tak w kraju jak i za granicą, gdy tego uznają potrzebę. Każdy łatwo dojrzy korzyści zobopólne, jakie wypływają z podobnej nieustającej wystawy wzorów i arcydzieł. Na pokrycie kosztów każdy wystawca wnosić będzie obowiązanym pewną opłatę roczną, odpowiednio do miejsca, jakie dla swych produktów zajmie. Akcyonaryusze mają w tym względzie otrzymać pewne ulżenia.

Sprostowanie:

Nr. 41, str. 227, szpalta 1, wiersz 39 od góry, zamiast: kuszlawił, czytaj: koszlawił.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.